

NOWE POGANIZMY

*Poganizm nie należy do przeszłości;
odżywa on dzisiaj w tysiącu postaci.*

W naszym współczesnym świecie poganizmy spełniają podwójną funkcję. Z jednej strony mają zastąpić chrześcijaństwo, które uważa się już za pokonane; z drugiej zaś podejmują się roli „ideologii zastępczych”, pociągających za sobą wielu teologów, którzy — uwiedzeni przez nie — domagają się od nich tego, by „odnowiły” i „zmódnernizowały” orędzie biblijne. W konsekwencji wiele osób, na różny sposób i pod różnorodnymi pretekstami, poganizuje chrześcijaństwo twierdząc, że chodzi im o to, by ukazać prawdziwą jego istotę i w ten sposób pozwolić mu pełniej otworzyć się na świat.

Działania tego typu odbywają się w różnych kierunkach i w różnorodnym nastawieniu. Przedstawimy ogólny ich zarys.

Różnorodne orientacje

Na pierwszym miejscu, wyraźnie przyspieszony rozwój nauki i techniki utwierdza człowieka w przekonaniu, że ten stworzony na obraz Boży — powinien stać się „współpracownikiem” Stwórcy, i to coraz bardziej skutecznym, i że z tego właśnie względu jest on zdolny nie tylko do przedłużania dzieła stwórczego, ale także do poprawiania go, a nawet do ponownej jego realizacji. Rozwijają się więc wskutek tego różnorodne pelagianizmy cechujące się właściwym sobie zaufaniem w możliwość zbawienia się za pośrednictwem dzieł oraz wprowadzaniem wielu środków leczniczych, uważanych za zdolne uleczyć człowieka bez interwencji sił wyższych.

Taka wizja świata suponuje zrównanie Zła ze zwyczajną chorobą, którą można z łatwością uleczyć. Stąd też płynie szacunek, z jakim się podchodzi do poczynąń psychoanalitycznych, pedagogicznych i politycznych. Wszystkie one opierają się na idei, że człowiek jest owocem określonych uwarunkowań; uniewinniając człowieka przedstawiają się one jako techniki zdolne do zregenerowania jednostki lub zbiorowości ludzkiej poprzez zmianę warunków, w jakich dany człowiek, względnie grupa ludzka żyje. Jednym z takich systemów obiecujących człowiekowi raj na ziemi jest marksizm. Człowiek jest tu jednak traktowany równocześnie jako

narzędzie i jako materiał; kiedy zaś traci swe złudne nadzieje, nie dostrzega nikogo poza swym przeciwnikiem, czyli tym, który nie chce być jego partnerem, i gotów jest poświęcić... człowieka dzisiejszego, ażeby — jak mniema w swym uniesieniu — mógł się narodzić człowiek jutra. Jeśli raz się wynaturzy oblicze Zła, łatwo zacznie się angelizować różne czyny twierdząc, że były one konieczne (*felix culpa*) i w ten sposób usprawiedliwiając siebie, a także różne okrucieństwa, mordy, masakry itp. Łaska Ojca ustąpiła w ten sposób miejsca promieniom miłosierdzia Syna.

Wielu chrześcijan uwiodły te zwodnicze idee; idąc więc za hasłem „należy działać” widzą oni, ze spokojnym sumieniem, w konkretnym działaniu wyraz wyzwolenczej odwagi, która czyni z człowieka byt odpowiedzialny i samotwórczy.

I odwrotnie, gdy się zaakcentuje pojęcia Zła absolutnego, grzechu pierwotnego i pokusy, wówczas nie dojdzie nigdy do tego, by osoba mogła się zadowolić jakimś mistyfikującym wierzeniem; co więcej, zaakcentowanie takie będzie zaproszeniem do przecięcia całego dystansu, jaki oddziela to, czym jesteśmy, od tego, czym nie jesteśmy. W ramach tego dystansu mieszczą się zarówno niezbędna pokora, jak też szacunek należący się osobie ludzkiej.

Pogанизm czynu, działania zostaje jeszcze wzmocniony czcią oddawaną historii, którą się uważa za nosicielkę, dawczynię i twórczynię „Sensu”. Poddaje się jednak, w tym przypadku chrześcijaństwo, pewnemu przekręceniu, gdy się głosi, że skoro Objawienie dokonało się w historii, to tym samym historia jest objawicielska, odkrywczą. Historia ukazuje się zatem jako rzeczywistość, w której i poprzez którą realizuje się Absolut, który się sam ubóstwia w czasie i dzięki czasowi. Pod pretekstem mówienia o eposie Duchy, realizującej się w historii lub w czasach ewolucji, wynaturza się dawną ideę wieczności w imię jakiegoś nieustannego tworzenia.

Mówi się także o przyszłości lub stawaniu się prawdy i o heraklityzmie wartości, którego potwierdzenie — bardzo pospolite i zwyczajne — ma stanowić cały inwentarz zachowań i zwyczajów, a więc etnologia lub socjologia. Zwiedziony całym tym wachlarzem różnorodności, oczarowany kalejdoskopem aksjologicznym, człowiek widzi w tym wszystkim znak swej odrębności, swej złożoności i swego bogactwa. Widzi też znak swej nieustannej „twórczości”. Wyjaśnia to modę panującą na Lévi-Straussa po Lévi-Bruhlu, któremu przypisuje się rolę najwyższego kapłana „myśli nieokiełzanej”

Jeden już tylko krok wystarcza do twierdzenia, że istnieją wybory subiektywne, które należy na równi szanować w imię świętej

wolności wyrazu, że życie nie przemija za jednym rozdaniem kart i że w konsekwencji instytucje represyjne winny ustąpić miejsca działaniom permissywnym.

Rozwija się w ten sposób poganizm wolności indywidualnej, który wszystko angelizuje, oraz poganizm postępu technicznego, który wielbiąc skuteczność i ciągłą „aktualizację” niszczy pojęcie świętości poczynając od jego podstaw, na których się opiera miłość należna drugiemu.

Filozofia współczesna i teologia

To ubóstwienie historii uważanej za rzeczywistość, w której i przez którą realizuje się Człowiek-Bóg jako byt samo-twórczy, pozwala na ponowne wykorzystanie Feuerbacha. Nie dałoby się zamknąć z łatwością listy teologów protestanckich lub katolickich, którzy — czerpiąc mniej lub bardziej wyraźnie natchnienie z protestantyzmu liberalnego i modernizmu — widzą w Chrystusie jedynie prowizoryczną projekcję człowieka jako takiego.

Powstają w ten sposób nowe poganizmy oparte na antropologizacji Chrystusa i prowadzące do socjalizacji Boga. Idee Montesquieu i Rousseau o powszechnej woli, zespolone z owocami myśli socjologicznej Augusta Comte'a, doprowadziły do powstania nowego bóstwa, wielkiego Bytu, który się ujawnia w różnych postaciach: rasy, stanu lub klasy. Tego rodzaju przebóstwienie kolektywu, rozszerzając się po ziemi drogą wymiany opinii, wywołuje na nowo tego smoka, przed którym w wielu krajach składa się regularnie nieszczęśliwe ofiary jako należny mu żołąd.

Wybitnie chrześcijańskie pojęcie Boga osobowego zostaje w ten sposób wynaturzone na rzecz powszechności, której chce się przypisać autorytet, odzegnując się równocześnie od Pisma św. Przyoblekając się w monopol nieomyłności, poganizmy tego typu nie przejmują się zbyt faktem posługiwania się osobą ludzką, traktowaną bezwarunkowo jako narzędzie w realizowaniu „planu”.

Liczni są teologowie, którzy zahipnotyzowani słowem „społeczny”, występującym w socjalizmie, albo też ideą wspólnoty dóbr ziemskich, odkrywaną w komunizmie — widzą w polityce lewicującej wymarzoną przestrzeń dla dzieł, bez których żadna wiara nie może być szczerą. W konsekwencji manicheizmy podniesione do poziomu Sądu Ostatecznego ekskomunikują i lekceważą dusze w imię kompromisów politycznych odpowiednio pochwalanych lub odrzucanych, bądź też uważanych za zgodne lub nie z sensem historii.

Teologowie tacy upodabniają się do filozofów, którzy w okresie

oświeconego despotyzmu XVIII w. poddawali zyczliwie królom światła niezbędne do wykonywania władzy, a w rzeczywistości byli jakby nieświadomymi zakładnikami, którymi się jedynie posługiwano wystawiając ich na złudzenie, że są rzeczywistym natchnieniem w dawanych przez siebie radach.

Mnożą się obecnie tacy chrześcijańscy „współpracownicy” — wszyscy uważający się za mosty strategiczne lub kamienie węgielne, którzy godzą się łatwo na kompromis, jeśli nawet nie na rzeczywistą zmianę, i na miejsce Ewangelii wstawiają manifesty, na miejsce Kościoła — partie, zamiast o ewangelizacji mówią o indoktrynowaniu, a posłannictwo zastępują rewolucją.

Otwarcie się na świat

Wywodzi się stąd inna jeszcze forma poganizmu współczesnego, który się przekształca w klucz ideologiczny, ochrzczony mianem „otwarcia się na świat”. Wielu chrześcijan miesza działanie z agitacją i sądzi, że udało im się odkryć nowe powołanie chrześcijaństwa. Zapominają jednak o tym, że od początku chrześcijaństwo nie pozwalało się nigdy otworzyć na świat, którego nędza była wprost przerażająca. Na przestrzeni wieków ojcowie nie wyrażali zgody na otwarcie się na świat, ponieważ konfesjonały, szpitale, więzienia, leprozoria, pola bitwy, rodziny pogrążone w nędzy, katastrofy naturalne, ogień lub epidemie stanowiły dla nich te sektory życia, w których na co dzień wykonywali swoją posługę. W świecie skazanym na codzienne ubóstwo, prześladowania, przemoc, błędy, choroby, ogień, wojnę i strach starali się o to, by zajaśniało światło, którego tenże świat nie był w stanie zapalić.

Obecnie duchowni i świeccy „obejmują” codziennie świat czytając dzienniki lub oglądając telewizję. Reporterzy gabinetowi, sprowadzający bliźniego do zwykłego pojęcia, połyskujący brązem w cieniu bibliotek lub we wnętrzu rozlicznych klubów wzajemnego pobudzania się — to oni nam mówią, co należy czynić. Opłaceni „fachowcy”, zaangażowani przez różnorodne europejskie Café de Flora, kontaktują nas ze światem, który szuka pomocy albo też żywi nadzieję, że przekaże im ideę, którą oni będą podzielali.

Skompromitowani razem ze światem starają się go wyangelizować mówiąc o tym, co czyni, lub co powinien czynić. Praktykuje się przerywanie ciąży? — Dodajmy mu otuchy, by dalej je praktykował. Używa się narkotyków? — Starajmy się o to, by były w wolnej sprzedaży. Dzieci uciekają z domów? — Dajmy im prawo opuszczania rodziny. Zinstytucjonalizować fakt twierdząc, że w gruncie rzeczy świat jest lub może być sprawiedliwy — oznacza:

zmierzać wielkimi krokami do pogaństwa — do pogańskiego wchłonięcia przez świat.

Problem nie polega zatem na otwarciu się na świat; pierwszy lepszy fotograf lub jakikolwiek dziennikarz może nam to ułatwić. Zasadniczym problemem jest *otworzenie świata* na to, czym ten świat nie jest, poprzez przekazanie mu orędzia, którego on sam nie jest absolutnie w stanie napisać, orędzia, które pozwoliłoby mu właściwie osądzić siebie. Poganizmy zaangażowania starają się wzbudzić w nas wiarę, że świat liczy się sam w sobie, albo też że nie wolno mu się sprzeciwiać, jeśli się chce zmienić siebie; ostatecznie starają się doprowadzić nas do przeświadczenia, że zbawienie pochodzi od świata. Tymczasem to świat ma być zbawiony, nie jest zaś tym, który ma zbawiać. Fakt, że Jezus narodził się w stajni, nie nadaje żadnej misji eschatologicznej społecznej klasie pasterzy.

Kult oddawany światu prowadzi do nowego pogaństwa lub do uwielbienia nowości. Każdy z nas spotyka się dziś z wywarem ostatnich przejawów życia świata i sądzi, że powinien jak najszybciej wejść na pokład, ażeby się utrzymać w czasach, w których żyje. Filoneizm zdobywa taką siłę, że nowość jest uznawana za „ważną” samą w sobie z racji samej swej nowości tak, że nie wymaga już dalszego uzasadnienia. Bywało dawniej, że całe ideologie zmieniały się w olbrzymie łoże nowości, w których się spotykały: nowa fala, nowe społeczeństwo, nowa umowa społeczna, nowa powieść, nowy teatr, nowa krytyka, nowa prawica, nowi filozofowie, nowi przywódcy i nowa kuchnia francuska.

Pociągani przez świat, również teologowie dostają zawrotu głowy na widok nowości i uważają się za bardziej kompetentnych wówczas, gdy wypowiadają masę wymyślnych banałów mających na celu pozyskanie sobie tego wszystkiego — nieważne czego — co się przyczyni do zaistnienia „dialogu” i do przystosowania chrześcijaństwa do „smaku dnia”

Rodzi się w związku z tym swoisty poganizm terminologiczny, polegający na tym, że się uważa, iż różne neologizmy potrafią ożywić Słowo, które nabierze w ten sposób — jak się twierdzi — nowego wyrazu. Skoro jednak nic nie jest tak modne jak sama moda, jesteśmy świadkami przybierającej wciąż na sile defilady Trysotynów teologii, którzy — podobnie jak to czynią liczni filozofowie — mieszają pojęcia z rzeczami i mniemają, że niejasność stanowi prawdziwy przejaw głębi, a czcze i zwodnicze prorokowanie winno zastąpić solidną refleksję. Przyznajemy tym samym teologowi prawo mówienia egzystencjalnym językiem Sartre'a, zbliżonym do dialektu Heideggera, a następnie pozwalamy mu na żargon Lacana. Tuż za nimi kroczą z kolei ci, którzy posługują się języ-

kiem marksistowskim, następnie władający językiem fenomenologii, pochod zaś kończą zwolennicy różnych barbaryzmów z wymyślonym sztucznie volapükiem strukturalistycznym.

Większość z nich demaskuje oczywiście to, co nazywa „mową kananejską”, a więc te ludowe, pełne majestatu, przekłady Pisma św., które poprzez pokolenia przekazywały pod postaciami zwierząt i ludzi bardzo proste przypowieści, za pomocą których Chrystus przemawiał do ludzi.

Odczytywanie Pisma świętego

Postawy takie zabijają Ducha po to, by żyła litera. Łatwo to zauważyć w dążeniach „demitologizujących”, które nie zatrzymują się na fetyszyzmie litery, ale starają się — jak twierdzą — odkryć prawdziwego ducha w tekście. Wbrew temu, co twierdzą, nie są to wcale dążenia współczesne. Faktem jest bowiem, że każdy „demitologizator” demaskuje lub oczyszcza pewne ustępy tekstu pod pretekstem eliminowania glos lub mitów, każdy też jednak przyjmuje jakies szczegóły różne od Pisma, wszyscy natomiast utrzymują, że postępują w sposób ściśle naukowy. W konsekwencji po przejściu przez ręce ich wszystkich nie pozostaje już z tekstu jakaś myśl jasna i czysta, lecz jedynie porozrzucane kości pokawałkowanego szkieletu.

Kierkegaard znał dobrze tych wielbicieli litery. Pamiętając o tym, że Pismo jest zwierciadłem, twierdzą oni o sobie, że patrzą w zwierciadło, ażeby dostrzec otaczające braki, a następnie starać się je usunąć. Czyniąc to jednak zapominają o rzeczy istotnej: że powinni sami przejrzeć się w tymże zwierciadle. Jawi się w ten sposób poganizm krytyki tekstu, poganizm banalizujący Pismo św., starający się dopasować je do roli wyraziciela określonych ideologii oraz żywiciela pretensjonalnych roszczeń, a sprowadzający je w gruncie rzeczy do refleksji czysto ludzkiej i aż zanadto ludzkiego wywodu, który nie jest w stanie przemówić do nikogo.

Są ludzie, którzy przybliżając (rzekomo) czytania biblijne wyrywają je z kontekstu, kawałkują, dokonują wiwisekcji na tekstach, ażeby dojść w ten sposób do ujęć skodyfikowanych i ustalonych ściśle formuł, w jakich wypowiadają się „algebryści” współcześni, zrodzeni z królestwa ilości, charakteryzującego tak bardzo czasy obecne. Fala strukturalizmu, nadająca pewną elegancję gruboskórnym wyrażeniom za pośrednictwem tak cenionych przez materializm historyczny infrastruktur, stanowi wyjątkowy przykład takich poganizmów zrodzonych z różnych form schlebiania światu. Poprzez swoje swawolne sformułowania, poprzez ter-

minologię hermetyczno-naukową oraz stereotypowe metody podobne do obrzędów inicjacji strukturalizm stara się — jak twierdzi — uzewnętrznić swoją znajomość położenia człowieka, poczynając od sytuacji „światowych”, w jakich ten żyje. Położenie ludzkie natomiast pozostaje warunkowe, aby mogło się przekształcić w położenie uwarunkowane sytuacjami, których treść i zakres określają je faktycznie — podobnie jak geolog opisuje warstwy podziemne w celu wyjaśnienia kształtu powierzchni. Rozwijają się następnie analizy w nurtach wytyczanych przez niewielkich Nietzschech, powiązanych z wielkimi: wyczerpuje się całkowicie lub częściowo myśl o jakiejś mecie lub celu, a zostaje sprowadzona do zwykłego udziału w grze, do układanki, w ramach której pozostaje już jedynie jakimś epifenomenem kontekstualnym. Właśnie dlatego Lévi-Strauss jest uważany równocześnie za zwolennika popularnego materializmu oraz za estetę pouczającego ludzi, jak mają się poruszać w swoim mrowisku.

Ulega w ten sposób rozwodnieniu chrześcijańskie w swej istocie pojęcie osoby ludzkiej, albowiem się głosi, że nie jest ona bezwzględnie *podmiotem*, lecz po prostu miejscem, w którym spotykają się ze sobą linie sił pochodzących ze świata i przez świat ożywianych.

Rozkład wartości

Zrozumiałe staje się na tym tle wzrastające wciąż powodzenie, jakim cieszą się obecnie filozofie wschodnie, dla których to, co nazywamy *jednostką*, nie przechodzi niepostrzeżenie, ale ma cechy własne widocznie zespolone z polem, po którym się porusza. Chodzi o pole, które jedni nazywają *praxis*, inni *libido*, a jeszcze bardziej współcześni — *episteme*. Te wschodnie filozofie zwodzą w pewnej mierze chrześcijan, którzy myślą pod ich wpływem o tym, by zespolić ich obrzędy z liturgią, otwierając się w ten sposób na szeroko pojęty „ekumenizm”, który ma polegać na „dialogu” prowadzonym między istniejącymi religiami, a także z ateizmem.

„Zniszczenie” lub „zrównanie z ziemią” osoby poprzez narkotyki, bądź też wynaturzenie istoty i istnienia człowieka, spowodowane przez antyhumanizmy współczesne, zapewniają także powodzenie tym wszystkim „Zenom” chemicznym lub ideologicznym, które przypisują sobie naturę ludzką prowadzą nieuchronnie do wynaturzenia człowieka.

Spekulacje tego typu występują szczególnie ostro u filozofów śladu, którzy — niezależnie od wszelkich alfabetów napisanych

przez człowieka — starają się dotrzeć do praegzystencji i czynnika praontycznego, czyli do tej czystej przestrzeni, w której powstaje „ślad” i do której tenże ślad powraca. Mówi się tutaj o przewyżczeniu przejawów wszelkiej i jakiegokolwiek różnicy, i to posunięciem tak daleko, że zaledwie miał się pojawić człowiek, a już trzeba było — w momencie, gdy się pojawia — zniszczyć rozróżnienie. Traktuje się osobę nie jako różniącą się w sobie, lecz jedynie jako *odmienną od*. Postawy takie przejawiają zamiar wkroczenia w *atelier*, w którym wykuwa się coś w rodzaju *pra-Biblii* przeznaczonej do przygotowania następnej z kolei *po-Biblii* mającej za zadanie *pozbawić całe Pismo św. sensu i Objawienia*. Znika wówczas samo i jakiegokolwiek centrum, a *gra szklanych paciorków* Hermana Hesse osiąga, w tej fenomenologii, jeśli nie ontologii, wymiar jakiegoś tańca kosmicznego, o jakim śnił Nietzsche. Na tej wysokości, sen Snu, jakim jest człowiek, sam się zatroszczy o „transcendencję” dla siebie.

Zarysowane tu neopoganizmy w miarę, jak pozwalają człowiekowi kosztować hysterii swawoli lub złudzenia władzy, są jedynie pozostałościami dawnych herezji, które czyniły ze świata wyłączone centrum, od którego człowiek winien oczekiwać wsparcia i pomocy. Ślepa radykalność podsuwanych środków zaradczych, które się przedstawia jako skuteczne pomoce i lekarstwa zbawcze, służy jedynie przyspieszeniu procesu rozkładu świata.

Człowiek natomiast staje się w tych warunkach wyczynowcem absurdu, skazanym na zdobycie trudnej i fatalnej skały, bezwzględnie podobnym do postaci Syzyfa, którego epopeję sam na sobie przeżywa.

tłum. ks. Lucjan Balter SAC